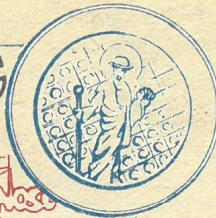


# Rozdanie specjalne

# Wyznawca



Solidarność  
Olsztyńska

Pismo NSZZ „Solidarność”

26.VI.81·rok II·nr 18

**P**OZNAŃ roku 1956 to Poznań robotniczego protestu, to korekcie robotniczego gniewu, jak Grudzień 1970 roku i Czerwiec 1976: Gniew ten w efekcie zrodził „Solidarność” jako gwaranta nadziei, że nie będzie się już strzelać do robotników, bić ani przetrzymywać w więzieniach za protest przeciw ludzkiej krzywdzie, niesprawiedliwości i wyzyskowi. Na Wybrzeżu i w Poznaniu stanęły monumentalne Krzyże - Pomniki, bo niczego nie wolno zapomnieć, gdyż naród bez historii jest narodem kalekim, by wreszcie przywrócić właściwy wymiar najwyższej ofierze złożonej przez wielu, by sierpień 1980 roku był SIERPNIEM.

**M**IMO iż chciano, aby o Czerwcu 56 pamiętano jako o „wypadkach poznańskich” - były to wydarzenia przełomowe w historii Polski współczesnej, wydarzenia które swoją dramaturgią i społecznym wydzwiekiem położyły podwalny pod Polski Październik. Autor obszernej monografii o Czerwcu 1956 roku, prof. Jarosław Maciejewski oraz doc. Zofia Trojanowicz, wyodrębniają w przebiegu pamiętnych wydarzeń w Poznaniu trzy fazy.

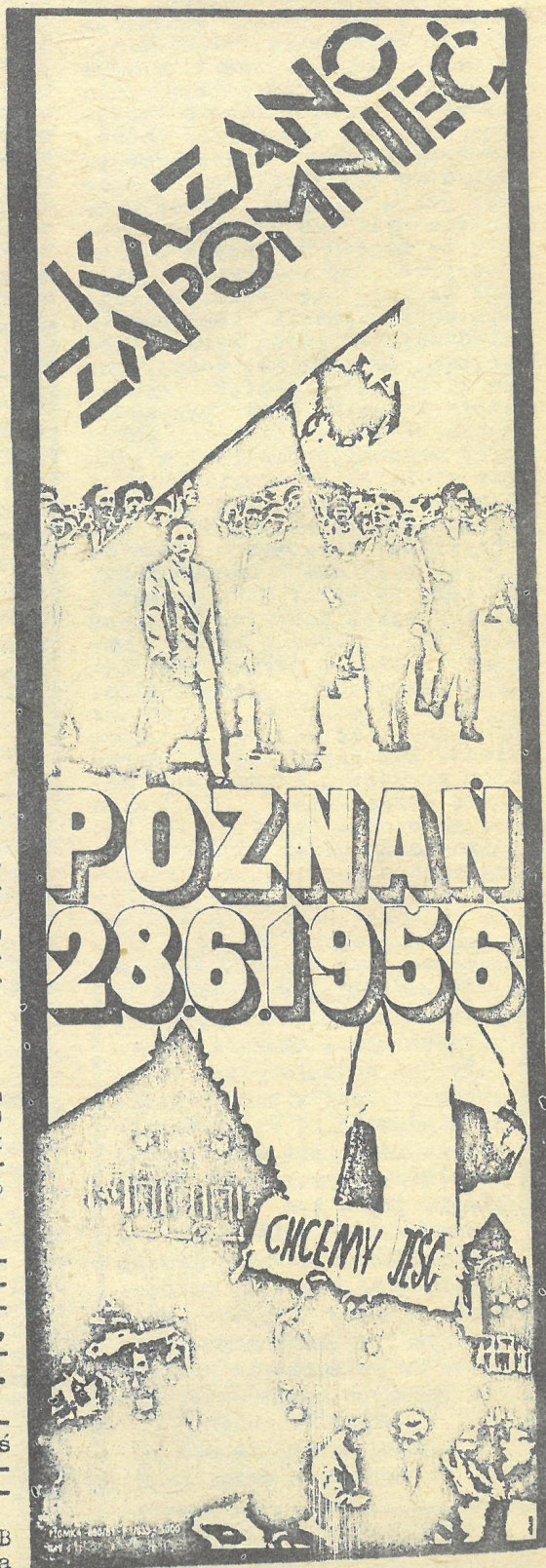
**P**IERWSZA faza rozpoczęła się 8 czerwca i trwała do 27 tegoż miesiąca. Był to okres dojrzewania robotniczego gniewu na bazie konfliktu w środowisku pracy największych zakładów Poznania a przede wszystkim na terenie wielkiej fabryki metalurgicznej, znanej w całej Polsce pod nazwą HCP/Zakłady im. Hipolita Cegielskiego/ a wówczas noszącej nazwę ZISPO /Zakłady im. Stalina - Poznań/.

**F**AZA druga toczyła się na ulicach Poznania i obejmuje dzień 28 czerwca. Był to najpierw marsz protestacyjny i polityczna manifestacja mieszkańców stolicy Wielkopolski pod hasłami żądającymi wolności i chleba. Potem było to zbrojne starcie między uzbrojonymi cywilami a funkcjonariuszami UB obleganymi w gmachu Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w odwecie za strzały oddane do bezbronnego tłumy. Jedną z pierwszych ofiar był 13-letni Romek Strzałkowski, zabity strzałem w serce z bliskiej odległości. W koncu - pacyfikacja miasta przez wprowadzenie pancernych dywizji wojska. Cywilów - głównie młodych ludzi - zaangażowanych w walki w kwadracie ulic w pobliżu budynku UB, można szacunkowo określić liczbą 150-200. Żołnierzy ściągnięto do Poznania ok. 6000, a może i więcej, a prócz tego miejskie siły milicyjne wzmocnione zostały oddziałami z innych miast, m.in. z Piły i wieczorem wynosiły 2300 ludzi.

**F**AZA trzecia przebiegała na cmentarzach, w szpitalach oraz w więzieniach śledczych Poznania i trwała od 29 do końca czerwca i przez kilkanaście dni lipca. Był to okres brutalnego odwetu władz i milicyjnego terroru. Według danych oficjalnych przebywało wówczas w więzieniu 746 osób. Poddani oni zostali drakonskim metodom śledztwa.

**E**PILOGIEM „wypadków poznańskich” były „procesy poznańskie”, które toczyły się od 27 września do 22 października 1956 w Sądzie Wojewódzkim w Alejach Marcinowskich, a przerwane zostały przez VIII Plenum KC PZPR, na którym w dniu 20 października Władysław Gomułka próbował w swym przemówieniu oddać sprawiedliwość Poznaniowi.

**W**kilka miesięcy po Październiku oficjalnie kazano zapomnieć o poznańskim Czerwcu. W samym Poznaniu zaś najaktywniejsi uczestnicy strajku zaczęli podlegać różnym szykanom, z różnych przyczyn zwalniano ich z pracy oraz poddawano nekującej inwigilacji. Najmniej przezorni propagatorzy bohaterstwa uczestników bitwy przy gmachu UB doznawali szykan sądowych. Ludziom zamykano więc usta, a badaczom dostęp do akt i dokumentów.





**WSPOMINA Stanisław MATYJA  
ÓWCZESNY ROBOTNIK ZISPO  
CZŁONEK WARSZAWSKIEJ  
DELEGACJI Zakładów**

W maju 1956 roku dwukrotnie byli w ZISPO przedstawiciele CRZZ i ZG Związku Metalowców. Zebrania odbywały się z tymi panami, którzy dzisiaj nie istnieją. Baraczek pękał od wzburzonych ludzi, którzy szczerze wypełniali pomieszczenie. Nie było odpowiedzi. Powiedziałem, że jak nie dostaniemy konkretnej odpowiedzi, to wychodzimy na ulicę. Ja już przedtem miałem kontakty z poszczególnymi zakładami, jak Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, Wiepofama, Rzeźnia Miejska. Nawet miałem kontakt w Maszynach Żniwnych, a także w Stomilu. Ludzie interesowali się tym bardzo mocno. Zachowywaliśmy konspirację. Wszystko załatwialiśmy na słowo, jak u naszych praojców. Ludzie byli tak zsolidaryzowani, że mogłem do innych zakładów przekazać informację, że w HCP szykuje się drażka. Uważajcie dobrze, jeżeli usłyszycie kiedykolwiek naszą syrenę fabryczną po godzinie 6-tej, tzn. że wychodzimy, a więc wychodźcie i wy. To były przygotowania. Kiedy 20 czerwca znowu były masówki, chcieliśmy w grupie stolarzy porozumieć się z dyrektorem - nie chciał z nami rozmawiać. To wszystko, co chcieliśmy załatwić legalną drogą, było nam udaremnione, byliśmy zależni. Na początku tych naszych zabiegów i starań nie było zgodności wśród załogi. Z czasem jednak cała załoga stała się jednomyślna.

Dnia 21 czerwca dyrektor naczelny miał nam dać odpowiedź. Tymczasem zanim dyrektor przyszedł, zarządzono odprawę wszystkich grupowych związkowych i partyjnych. Tam wbito im do głowy zadania bezwzględne popierania dyrektora i podjęcia starań o rozbićciu jedności załogi, o wprowadzeniu fermentu. To, co im

dyrekcja nie ma możliwości załatwienia naszych spraw, kategorycznie żądamy przyjazdu z Warszawy przedstawicieli rządu lub CRZZ.

Już mamy dosyć wszystkich kłamstw, oszustw i machinacji. Do rozmów wybrano delegatów - m.in. mnie. Rzeczywiście przyjechali jacyś ludzie z Warszawy. Kiedy myśmy mówili o tym wszystkim - po prostu nie reagowali, jakby to do nich nie docierało. Nie mam określenia na formę, ale mówili nam o zupełnie innych sprawach, nie odpowiadali na pytania, którymi ich zarzucałiśmy. Wówczas po raz drugi zapowiedziałem/ponieważ miałem już wszystko wypracowane/, że jeżeli do jutra nie dostaniemy odpowiedzi, to wyjdziemy na ulicę; skorzystajmy z tego, że są Targi Międzynarodowe i pokazemy, że w naszym socjalizmie za dużo jest kłamstw. Wszędzie jest pięknie, tylko nie u robotnika. Wszędzie przedstawia się, ile my wyrabiamy, co my za zyski mamy. A my mamy zato nic.

".../wiadomości z Poznania dowodzą niedwuznacznie, że chodzi tu o starannie przygotowaną próbę zamachu. Nie jest przypadkiem wybór miejsc i termin zamieszek: w Poznaniu odbywały się właśnie Targi Międzynarodowe z udziałem licznych gości z Zachodu. Agenci i kierownicy przez nich osłonkowie reakcyjnego ruchu podziemnego wykorzystali widocznie tę możliwość, aby przemycić do Polski gangsterów jakich mieli jeszcze pod ręką."

Berliner Zeitung

Komisja zaproponowała, abyśmy wybrali ludzi i wysłali delegację do Warszawy. I tak zrobiliśmy. Tylko, że nie na tej sali, a następnego dnia około śniadania. Był to 23 czerwca.

Ponieważ na W-3 zaczęto te sprawy poruszać, dostaliśmy ten przywilej, że z W-3 wybraliśmy 5 delegatów, a z innych fabryk ZISPO po 3 delegatów. To się stało. Byłem wśród tych delegatów. Ludzie mieli do mnie zaufanie. Przychodzili do mnie strażacy, strażnicy i ludzie z innych wydziałów, żebym także ich bolączki w Warszawie poruszył. Ponieważ nas jechało z W-3 pięciu, podzieliłiśmy między siebie tematy wypowiedzi. Mieliśmy votum zaufania załogi, ale nie mieliśmy prawa do jakichkolwiek przetargów ani ustępstw. Z zakładu było 17 delegatów.

Zanim wyjechaliśmy z Poznania zabrano nas na odprawę w Komitecie Zakładowym PZPR. Mówiono nam, że jest tu dużo ludzi, którzy chcą robić złą robotę. Jawnie nam mówiono, że to są szpiegzy i dywersanci. Chciano nas zastraszyć, abyśmy zbyt gwałtownie nie stawiali w Warszawie. Nikt z nas nie nie

odpowiedział. Razem z delegatami jechali przedstawiciele partii, I sekretarz Majchrzycki, dyrektor Trzcionka i drugi dyrektor Drabik, przewodniczący Rady Przemysłowców Kosmowski.

Przyjechaliśmy do Warszawy i sądziliśmy, że pojedziemy do CRZZ, tymczasem zawieziono nas do ZZ Metalowców. Stamtąd zawieziono nas do Ministerstwa Przemysłu Metalowego, gdzie gospodarzem zebrania był minister Fidelski. Między nami usiadło kilku obcych ludzi, którzy nie zabierali głosu, ale było widać, że mają "gnaty" pod marynarkami. Była to obsługa. Ale to wszystko zbyt łatwo nam szło. Na wszystko się zgadzano. I gdy już miano zakończyć obrady, tknięty jakby przecuciem, wstałem i powiedziałem "Dobrze-towarzyszu ministrze - my tu wszystko załatwiliśmy pozytywnie, ale nie my będziemy to wszystko przekazywać załodze, lecz przyjeździecie wy jako pełnomocnicy. My przygotowujemy wam grunt, bo jest bardzo niebezpiecznie na zakładach. Zapewnimy wam pełne bezpieczeństwo, ale wy to musicie sami przekazać załodze! Mała konsternacja. Wreszcie minister Fidelski powiedział, że dobrze, ale nie pojedą z delegatami koleją, lecz przyjadą samochodami i będą u nas w ZISPO około 11-tej. Podziękowałem. Narada się skończyła. Poszliśmy się posilić, bo ostatnio jedliśmy w Poznaniu. Tak minął dzień 26 czerwca 1956r.

Nocą wróciliśmy do Poznania. Aby nie było nieporozumień, zebrałiśmy się w jednym przedziale i przedyskutowaliśmy jeszcze raz cały przebieg konferencji. Wszystkie sprawy trzeba było zgodnie przekazać załodze. Rano byliśmy na zakładach. Kiedyśmy przyjechali na zakłady po 6-tej rano i gdy powitaliśmy załogę okrzykiem "victoria!" to ludziom żyły stany w oczach. Zreferowaliśmy wszystko jak było. Niektórzy nie dowierzali. Był to już 27 czerwca 1956r.

O godz. 13,45 miały się odbyć masówki w poszczególnych fabrykach. Wiedzieliśmy, że minister już przyjechał około godz. 11-tej. I teraz nastąpiła wielka konsternacja. Myśmy przygotowali dokładnie grunt na przyjęcie ministra. Nie pamiętam, czy przede mną mówił Taszer, czy ja przed Taszerem. Byliśmy pełni ufności. Widzieliśmy te twarze pełne napięcia, choć pogodne. Kiedy zabrał głos minister, po prostu zabrakło mi tchu, gdyż okazało się, że kompletnie mówi coś innego niż to co uzgodniliśmy w Warszawie. Kiedy łamiącym się głosem powtórnym przemówiłem, powiedziałem, że przecież nie tak załatwiliśmy co pan mówi, załatwiliśmy przecież zupełnie inaczej.

Wyszedł z gromady stary robotnik, który powiedział, że za Wilusia skończył 4 klasy i liczyć umie tylko po niemiecku, bo tak się nauczył. Zwrócił się

"W dniach, gdy wysiłkiem przedsiębiorców i tkaczy nasza przedsiębiorstwa i tkalnia wykonały już zadania planu półrocznego, doszła nas tragiczna wiadomość, iż Wy towarzysze, daliście się wziąć na złap zbrodniczej prowokacji. Ulegliście jej w tym momencie, kiedy nasza partia, nasz rząd i naród po uchwałach XI-ego Zjazdu KPZR usuwają saniedbania i błędy w życiu społecznym i ekonomicznym kraju dążąc do polepszenia warunków bytowych społeczeństwa."

Załoga Zakładów  
Przemysłu Wełnianego  
im. L.W. w Łodzi

przekazano, rozeszło się lotem błyskawicy. Niewiele brakowało, a doszłoby do rękoczynów. Stało się wreszcie na tym, że skoro



do ministra i tak powiedział; Według pańskiego rachunku wychodzi tak, a według mojego/ i tu chwilę liczył po niemiecku/ wychodzi coś innego. Mnożył i dzielił poprawnie. Sam był zdumiony i przeliczył jeszcze raz. Wyszło mu to samo. Powiedział ministrowi: słuchajcie, wy najpierw ukończcie szkołę podstawową, a potem idźcie na stołek ministra. Tu nastąpiła wrzawa nie do opisanego. Z daleka pokazywano mu sznur, po prostu chcieli ministra powiesić. Nastąpiła temu zamiarowi sprzyjała. Sytuacja była gorąca. Miałem swoich ludzi z warsztatu - posłałem po ten sznur, by go schowano. Minister wezwał ludzi na jutro do pracy. Sam odprowadziłem ministra do Rady Zakładowej, bo ludzie byli zdolni do wszystkiego i mogli go powiesić.

"Śmiertelna nienawiść do Polski Ludowej, do naszej władzy robotniczo-chłopskiej kierowana tymi sbrodniozymi rękami. Śmiertelna nienawiść uknuła tę nikosenną prowokację, która spotkała się z jednomyślnym potępieniem wszystkich pracujących, każdego prawego, uczciwego człowieka.

Jakże gorszo zawiedli się w swoich rachubach ci nędzni awanturnicy i ich inspiratorzy. Jakże miastdającą klęskę poniosły ich sbrodniozłe plany./.../

Z przemówienia sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka na uruczystościach pogrzebowych.

Zostawiając ministra z Tyszerem przed drzwiami Rady Zakładowej zapytałem ministra, jak ocenia sytuację. Odpowiedział mi z uśmiechem, że wszystko będzie dobrze, ale jutro załoga musi wrócić do pracy. Nie byłem tego pewny, czy załoga podejmie pracę jutro. Powiedziałem więc ministrowi, że nasza rola jako delegatów się skończyła, ale proszę być jutro o 5-tej na zakładach, nie żartuj, gdyż pan i tylko pan może sytuację uratować. Pożegnałem się i odszedłem.

Czekali na mnie już koledzy, powiedziałem im jak i co. Z wielkim bólem głowy, skołatany, przyjechałem do domu. Przyjechałem do domu wiedząc, że jutro pewnie się zacinie. Jadąc nazajutrz do pracy, już w tramwaju spotkałem kolegów, którzy stwierdzali, że dosyć, że już to się raz musi skończyć. Wiedziałem z góry, że sprawa już zapadła. Gdy się rozbierałem w szatni, przybiegli do mnie koledzy, wołając, że na przesuwalnicy już czekają na mnie ludzie. Pośpieszyłem się, schowałem do taczki i pobiegłem do ludzi. Kiedy wchodziłem do hali, usłyszałem wielkie "hurra" i cała masa ludzi ruszyła drugą bramę na stronę W-4, gdzie ludzie ja-

kby czekali na nas. Dołączali inni.

Pochód skierował się koło W-2 w stronę głównej bramy. Przed elektrownią stanęliśmy i postanowiliśmy zaczekać na resztę załóg zakładów. Do elektrowni nie chciano wpuścić od nas człowieka, aby dał syreną zakładów znak o rozpoczęciu protestacji. Nie mówiono wtedy strajk-tylko protestacja. Ponieważ gość od syreny zamknął się w środku, jeden z nas po barkach innych wszedł do elektrowni i rozprawiwszy się z opornym elektrykiem dał buczkiem znak rozpoczęcia protestacji.

Na ten znak portierzy sami otworzyli główną bramę i fala robotników wyległa na ulicę. Unieruchomiono stojący tam tramwaj. Od samego początku ludzie przeżywali te chwile jako dramat. Człowiek wdziewał szybko marynarkę krzyżując, ja idę też. Samorzutnie dołączali ludzie pojedynco i załogi małych zakładów. Byliśmy umówieni z ZNTK, dlatego pochód z Rynku Wildeckiego skierował się ulicą Przemyskową i Roboczą. Pochód czekał na ulicy, a czółówka weszła przez otwarte bramy. Była tam właśnie masówka.

Skoło ludzie zobaczyli nas od razu grupkami przyłączyli się do nas, a mówcę, który akurat przemawiał, zdjęto z mównicy. Wtedy ruszyła reszta. Umówiliśmy się, że spotkamy się z tramwajarzami, skreśliliśmy więc w ulicę Rokossowskiego, dzisiaj Głogowską. Zdarzył się tam mały incydent. W czółówce poходу razem ze starszą szli młodzi ludzie, którzy chcieli wtargnąć na teren Targów. Zagrodziliśmy im drogę, bo to nie był cel naszego marszu. Doszliśmy do ulicy Zwierzynieckiej i tam widziałem, że dyrektor w jasnym ubraniu w zajeźdni na Gajowej wstrzymał wychodzących tramwajarzy. Ci wsadzili go do kanału i wylali na niego beczkę zużytej oliwy. Poszliśmy razem na ulicę Kraszewskiego, gdzie w okolicach zakładów odzieżowych Komuny Paryskiej robotnice krzychały, że je pozamykano i nie mogą wyjść. Rozwścieczyło to jeszcze tłum, który skandował "my chcemy chleba", "my chcemy wolności", "my chcemy religii". Wyważono bramę zakładów i wtedy potwierdzono też wszystkie hale i robotnice poszły z nami. Złapano sekretarza partii tych zakładów i jeden z młodzieńców włożył mu kosz z papierami na głowę. Zareagowaliśmy, że ma tego zaniechać, bo to też człowiek.

Udaliśmy się potem w kierunku Rynku Jezeckiego, skreśli-

"W międzyczasie zorganizowane bojówki prowokatorów objeżdżały pozaścianki fabryki i instytucje, wprowadzając ludzi na ulice przy czym niejednokrotnie używano grózb."

EXPRESS Poznański 30.06.1956

śmy w ulicę Dąbrowskiego, uważając, żeby nie zbaczac na ulicę Kochanowskiego. Ludzie z okien krzyczeli i wyrażali poparcie. Tak doszliśmy do umówionego miejsca, do Placu Wolności na wysokości ulicy Ratajczaka. Byłem zdumiony, że tak głęboko zakonspirowana łączność między zakładami takie sprawne dała rezultaty. Po tamtej stronie bowiem już czekali na nas ludzie z rzeźni i innych zakładów. Umówiliśmy się, że przyjdzie pierwszy, zaczeka na drugiego. Teraz już wielką żaną ruszyliśmy ulicą Ratajczaka i doszliśmy do ulicy Armii Czerwonej pod gmach partii, pod Zamek.

Dochodząc do samego Zamku, tłum stanął równo z ulicą Stalingradzką. Wszystko odbywało się w takim porządku, że nawet trawy nie deptano. Wtem od strony Kaponiery zauważyliśmy nadjeżdżające auta milicyjne. Ludzie nie wiedzieli, o co chodzi, ruszyli gromadą ku samochodom i zatrzymali je. Poproszono milicjantów o zejście z wozów, co też oni uczynili. Wszystko odbyło się grzecznie, wśród okrzyków "milicja z nami!", "milicja z narodem!". Z opon samochodów wypuszczono powietrze.

Pod zamkiem w dalszym ciągu domagano się wyjścia przedstawicieli władzy, wszystko wśród śpiewów patriotycznych i religijnych. W pewnej chwili wszedł człowiek na samochód milicyjny i zaczął przemawiać wuczonym językiem partii. Nagłośnienia nie było, stąd i szyszalność mówcy mała. Miał to być Kraško, pracownik Komitetu Wojewódzkiego, ale nikt go nie znał, był to dla nas obcy człowiek. Widać było, że był odważny, i widać było, że wierzy jeszcze w to, w co my już nie wierzyliśmy. Zszedł.

Nadal śpiewano pieśni patriotyczne i religijne. W tych ludziach, którzy tam byli, widać było z jednej strony radość, z drugiej przygnębienie. Ludzie śpiewali pełną piersią. Było tam wg. mojej oceny około 200 tysięcy ludzi, ale łączyła tych ludzi prawdziwa solidarność i samorzutna dyscyplina. Ludzie, przeważnie młodzież, po półtorej godzinie bezskutecznego czekania na przedstawicieli władz, poszli ich szukać do Zamku. Ale nie znaleźli nikogo. Na dowód tego, że władzy nie ma, wywieszono na zamku białą flagę, co znaczyło, że się poddali.

Wpadnięto do Komitetu Wojewódzkiego - nie wiadomo, kto to był - po chwili otworzyły się okna i wołano "patrzcie, jak mi tu żyją". Pokazywano zastawy i potrawy, szynki, wódkę i inne przysmaki. Ludzi to podnieciło, bo walczyli o chleb, o sprawiedliwe normy, o ludzkie traktowanie, a tu władza niby ludowa używa sobie wszystkiego. Było to prawdopodobnie przyjęcie dla ministra Fidelskiego.

Potem wypadku potoczyły się szybko. Nadjechał radiowóz, wydaje się, że z początku przy ko-



śluszki, ustawiono go i ludzie zaczęli przemawiać, protestować. Po chwili usłyszałem ten sam głos, co poprzednio-Kraśki. Mówił może minutę i "zdjęto" go z wozu. Dostał parę razów. Podsunąłem się bliżej. Byli tam właśnie pracownicy Stomila i walcowni. Powiedziałem im "dajcie ludzi, mówić każdemu, jeżeli my chcemy, aby nas wysłuchano". W otoczeniu tych usmolonych kilkunastu robotników doprowadziliśmy go do Zamku. Powiedziałem mu: "chłopiec uciekaj". A on do mnie "ma przylecieć komisja rządowa- jest w drodze. Czekajcie! Jak się później okazało, był to Kraśko, którego nie znam.

Cofnęliśmy się i postanowiliśmy radiowóz przesunąć przed aulę uniwersytecką, aby nagłośnić plac na czas rozmów z delegacją rządową. Jeden z cegielniczków wszedł do radiowozu i ogłosił, aby założył poszczególne zakłady wybrały przedstawicieli do rozmów z delegacją. Pomyśl był wspaniały, były jednak trudności w przesunięciu radiowozu przez tłum. Sam siedziałem na stopniach tego wozu. Zgłosiło się kilku techników łączności, aby radiofonizować plac.

Po chwili pojawiła się grupa dzieci z nauczycielem-jakaś kolonia z narodowym sztandarem na przedzie i głośniła, że idą na Kochanowskiego, bo tam uwieczono delegację z HCP. Chwyćcie nauczyciela za kłapy, ale nie przekonałem go, mimo że przedstawiłem się jako jeden z delegatów HCP, których przecież nie zamknięto. Towarzyszył mi Kazimierz Kaniewski. Spodziewałem się, że delegacja rządowa lada chwila przyjdzie, że nasze sprawy rozstrzygną się tu, na tym placu.

Po niecałych 20 minutach padły pierwsze strzały. To było około 11-tej. Jak na ironię, widzę, że samolot- chyba rządowy- przelatuje nad nami na ławicę. Nie widziałem, aby od manifestantów na placu oderwała się jakaś grupa ludzi, by iść na Kochanowskiego. Nie jest jednak wykluczone, bo nie ogarniałem wzrokiem całego tłumu. Widziałem natomiast, że duża część manifestantów razem z radiowozem, na którym zatknięto flagę, ruszyła do więzienia



na Krayską, aby "uwolnić naszych ojców i braci". Na komitecie Wojewódzkim założono tablicę "dom do wynajęcia", "chleba", "wolności". Uświadomiłem sobie, że z zamierzonych i oczekiwanych rozwiązań nie już nie będzie. Uczestnicy manifestacji stali się żywiołem na dziko. Krzyczano. Spiewano. Sądzie byli bardzo podnieceni. Znałem, że moja rola jako delegata i w pewnym sensie przywódcy tego tłumu skończyła się.

Udałem się na Kochanowskiego. Doszedłem do Mostu Teatralnego. Z narożnika Roosevelta i Dąbrowskiego widziałem tłum przy stacji zgłaszającej, którą zdemolowano. Na Dąbrowskiego widziałem, jak przewracano tramwaj. Po chwili przyjechały dwa lub trzy czołgi. Wojsko samo wysiadło. Widziałem, jak grupa cywili obsadziła pierwszy czołg i ruszyła ulicą Dąbrowskiego.

Udałem się z powrotem pod aulę uniwersytecką. Położyłem się na trawie z kilku kolegami - w poczuciu bezradności i po prostu z głodu i zmęczenia. W pewnej chwili usłyszeliśmy strzały z wieżyczki auli uniwersytetu. Nagle coś spadło z wieżyczki, tłum nie pozwolił dojrzeć, ale mówiono, że to kobieta. Stwierdziłem, że nic tu po nas - idziemy.

Z grupą kolegów wróciliśmy do HCP. Była to godzina 13-ta. Zakłady były obsadzone dyżurnymi, ale jak wchodziłem na W-3 z głównej bramy, z przeciwna, wyjeżdżała wojskowa pancierka. Musiało tam więc być jakieś

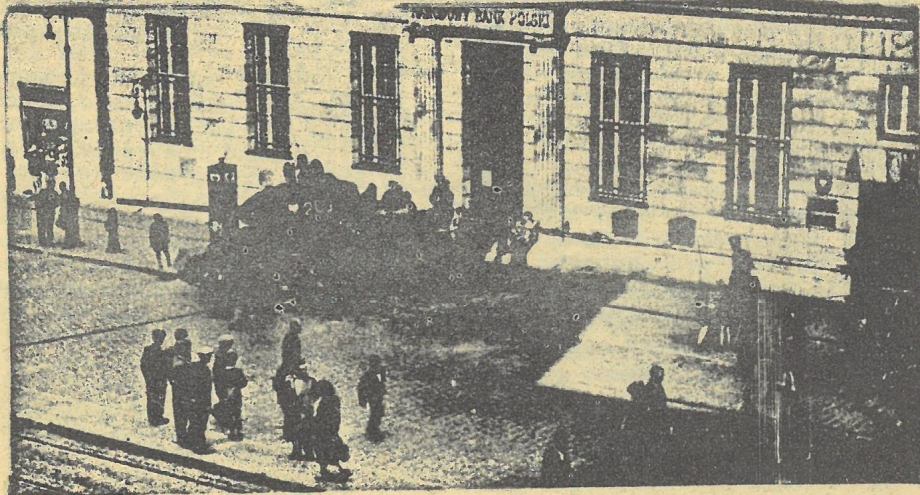
wojsko. Ale na W-3 nie było żadnego żołnierza. Spotkałem tam I sekretarza z W-3 Zenka Bęglera, który nic nie wiedział, bo nigdzie nie był. Nie zabrakło mojej teczki, przebrałem się i ruszyliśmy do domu. Szliśmy prawie trasą pochodu. Doszliśmy nawet przed Zamek. Spotkałem tam nawet kilku kolegów- dobrych przyjaciół mieszkających w tej samej dzielnicy- poszliśmy więc razem.

Idąc do domu przez Plac Wolności widziałem czołg, który stał przy banku na Marcinkowskiego. Kiedy byliśmy na Walki Młodych na wysokości Jubilera, pojawił się samolot "Jak! Przy szpitalu było dużo ludzi. Samolot zaczął strzelać do tych ludzi. Przyspieszyliśmy kroku. Odetchneliśmy dopiero po przejściu Mostu św. Rocha. Byłem w domu około godziny 16-tej. Spotkałem po drodze żonę i tak doszliśmy szczęśliwie do domu.

Na drugi dzień poszedłem normalnie do pracy, ale nic jeszcze nie jechało, tak że zanim z Zegrza doszedłem pieszo do HCP, była już godzina 8-ma. Na W-3 spotkałem wojsko, które wzbraniało wstępu komukolwiek. Poszedłem do stołówki, gdzie spotkałem paru kolegów. Doszliśmy do wniosku, że skoro w fabryce jest wojsko, to my, cywile, nie mamy tu nic do szuka - nia. Było nas z 10 osób. Poszliśmy więc w kierunku ulicy Dąbrowskiego. Tu na wysokości Kochanowskiego stało pod murami wojsko, przypuszczalnie Wyższa Szkoła Wojsk Pancernych. Poszliśmy do domu.

Z piątku na sobotę nad ranem mocno ujadł pies. Przyszli po mnie. Przeprowadzono rewizję, zabrano mi wszystkie papiery i pamiątki, których już nigdy nie odzyskałem. Kiedy mnie wyprowadzono, po prostu onieźmiałem. W bramie stał samochód pancerny. Taki sam stan na przeciw na polu. Na drodze stał samochód ciężarowy ze sterującym karabinem maszynowym skierowanym na bramę. Kiedy to zobaczyłem, uwiązałem psa, żeby go nie zabili. Wsiadłem do pierwszej pancierki. Ruszył konwój. Przodem jedna pancierka, w środku ja, za nami samochód z plutonem wojska.

Dowódca był sympatyczny. Mogłem z nim rozmawiać, czemu je-





dnak sprzeciwiali się dwaj cywili. Dojechaliśmy do UB na Kochanowskiego. Gdy zamknęła się za mną brama, poddano mnie szczegółowej rewizji. Nie bito mnie, ale skubano, szczególnie w kroczu, co jak wiadomo jest bardzo bolesne. Zamknięto mnie w celi w piwnicy. Była to niedziela godzina 5-ta. Było nas w celi trzech. Po kilku godzinach strażnik otworzył drzwi i wskazał na mnie palcem. Szliśmy na trzecie piętro. Cały czas paliło się na ścianach czerwone światło. Po drodze kazano mi nagle stanąć twarzą do ściany.

Ktoś schodził. Potem się dowiedziałem, że to była praktyka uniemożliwiająca jakikolwiek kontakt więźniów. Przeprowadzono powtórne rewizje. Nasłuchałem się gróźb i obelg, straszyl mnie śledczy pistoletem, na co się roześmiałem. Zwymyślał mnie plugawie, chwycił za klapy i bardzo silnie uderzył mnie głową o ścianę. Z szafy pancernej wyjął pistolet maszynowy i celując we mnie zaczął się bawić nie przestając obrzucać mnie i moją rodzinę najplugawszymi wyzwiskami. W pewnej chwili nie panując nad sobą, wziąłem ciężki taboret, na którym siedziałem, i rzuciłem w niego. Natychmiast wpadli do pokoju funkcjonariusze i obezwładnili mnie. Byłem zrezygnowany. Oskarżono mnie, że przygotowywałem zamach stanując rozdawałem dolary ludziom, aby wyszli na ulicę, współpracowałem z podziemiem i zagranicą, że stałem na czele band, które rozbrajały komisariaty. Zaczęto mnie bić, czułem jedno, drugie i trzecie uderzenie - i już nic nie pamiętam /.../.

/.../Na miejscu zawiązano mi oczy i wprowadzono do środka. Po pół godzinie przyszedł po mnie, zdjęto mi kajdany i zaprowadzono do pustego pokoju. Dwóch panów siedziało na krzesłach, dwóch stało pod dnami. Pytano mnie co sobie myślałem wożąc, aby podpalić UB. Bałem się bardzo. Odpowiedziałem dosyć głupawo, że nic nie myślałem. Wtedy zaczęli mnie mocno bić, straciłem przytomność. Wybito mi zęby przednie i z lewej strony. Między bijącymi był człowiek niski i bardzo tęgi. Wyróżniał się okrucieństwem. Bił żelazem po twarzy i w rękach. Mocno krwawiłem. Wepchnięto mnie potem do celi. Przesiedziałem jeszcze dwa dni i dwie noce. Gdy mnie wypuszczano, musiałem podpisać papier, że mnie nie bito i obchodzono się dobrze. I jeśli coś powiem o biciu to wymordują całą rodzinę /.../.

Ł. Łukaszewicz "Dramat nadzieji. Poznański Czerwiec 1956".

## REPLIKA ADWOKATA

Stanisława HEJMOWSKIEGO  
WYGŁOSZONA 18.X.1956r. W IMIENIU  
OBRONCÓW na OSTATNIM z TRZECH  
"PROCESÓW POZNAŃSKICH"

Proszę Wysokiego Sądu, panowie prokuratorzy zaszczylicili ławę obronczą swoimi replikami. Uchyliłibyśmy zasadom kurtuazji procesowej, gdybyśmy repliki te pozostawili bez odpowiedzi. Jestem dumny, że moi szanowni koledzy współobroncy upoważnili mnie, abym panom prokuratorom odpowiedział również i w ich imieniu.

Proszę panów sędziów, zagadnieniem, które nas w tej sprawie najwięcej interesowało, było pytanie, z czyjej strony padły pierwsze strzały. Dlaczego? Dlatego, ponieważ biegły profesor Chałasiński wyraził opinię, że ten, kto oddał pierwsze strzały, ponosi odpowiedzialność za krew, która spłynęła na bruki miasta Poznania. Proces niniejszy ma znaczenie historyczne. My chcemy, ażeby fakty istotne dla historycznej oceny wydarzeń z dnia 28 czerwca zostały tutaj, na sali sądowej ustalone w sposób określony przez przepisy postępowania karnego. Niestety, wnioski dowodowe obrony, zmierzające do dokładnego wyjaśnienia początku wydarzeń, zostały pierwotnie przez Sąd uwzględnione, a potem pominięte. W pewnym momencie postępowania dowodowego Sąd powiedział: nie będziemy słuchać dalszych świadków. Sąd uważa te okoliczności za wyjaśnione. Opierając się na procesowej zasadzie, iż Sąd może pominąć wnioski dowodowe tylko wtedy, gdy uznaje te dowody za prawdziwą, obrońcom wolno było w swoich przemówieniach stanąć na stanowisku, że fakt oddania pierwszego strzału przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa został w przewdzie sądowym udowodniony. Tymczasem korzystając z tego, że nie wszyscy świadkowie zostali przesłuchani, pan prokurator Muszyński usiłował tę tezę obrony poddać w wątpliwość i powołując się na wypowiedzi oskarżonego Romana Bulczyńskiego i niektórych świadków twierdził, że przecież nie wiadomo ostatecznie, przecież ten punkt jest jeszcze niejasny. Była mowa i o butelkach z benzyną, i o tym, że napastnicy chcieli pod gmach UB beczkę podtoczyć z benzyną. Zdaniem pana prokuratora, strzelając do tłumy funkcjonariusze UB działali w stanie obrony koniecznej.

Proszę panów sędziów! Kwestia pierwszych strzałów może być niejasna, ale tylko tutaj, na sali sądowej. Bo tam, w mieście, nikt nie ma co do tego wątpliwości. Przecież wypadki rozgrywały się na oczach tysięcy ludzi. To nie są fakty, których by nie można było ustalić. Przeciwnie, nic łatwiejszego! A jeżeli obrona twierdzi coś fałszywego, to dlaczego nie przyszedł do Sądu nikt

z Urzędu Bezpieczeństwa, aby dać świadectwo tej prawdzie, o której mówił pan prokurator: "myśmy pierwsi nie strzelali"? To milczenie setek urzędników UB jest dla mnie bardziej wymowne, niż wszystkie retoryczne argumenty pana prokuratora.

A jeżeli mam przypomnieć zeznania świadków, to niech mi wolno będzie odczytać to, co powiedział sędzia wojskowy, kapitan Matłoch. Słuchany w dniu 12 października sędzia Matłoch zeznał: "Z okien Urzędu lano wodę z hydrantów. Wtedy tłum zaczął rzucać kostką kamienną. Po pewnym czasie, gdy manifestanci zbliżyli się do gmachu, padły pierwsze strzały. Zauważyłem, jak zaczął odpryskiwać tynk z budynku położonego na przeciwko Urzędu Wojewódzkiego. Wówczas, wszyscy, którzy byli przed gmachem, rozbiegli się i pochowali. Po pewnym czasie ludzie zaczęli wychodzić z ukrycia i wołali jeden do drugiego "można iść, nie bójcie się, strzelają w górę!".

Może to nie wystarczy? Może sędzia wojskowy niedostatecznie dokładnie zaobserwował to zajście i niedostatecznie dokładnie przedstawił je sądowi? Ja mam dalsze notatki.

Staje przed sądem lekarz dr Śliwiński i mówi: "pojechałem na wezwanie Urzędu, ażeby okazać pomoc lekarską. Zaczęła się rozmowa z funkcjonariuszami: "po coście strzelali?". Funkcjonariusz odpowiedział: "Jak drwa rąbią, to wióry lecą". Otóż jeden z tych "wiórów", rodzina poległego chłopca dostarczyła dzisiaj rano adwokatowi Grzegorzewiczowi kurtkę postrzeloną i splamioną krwią...

Funkcjonariusze rozmawiają dalej. Funkcjonariusze odpowiadają, jak to było: "Myśmy do nich ze słowami, a oni chcieli drzwi wyważyć. Myśmy lali wodę z hydrantów, a oni do nas kamieniami. Potem musieliśmy strzelać. Wówczas lekarz pyta: "Więc wyście zaczęli strzelać pierwsi?", "Tak, my" - pada odpowiedź.

Czy mogą istnieć jeszcze jakieś wątpliwości w tej sprawie? Jeżeli były, jeżeli są, to dlaczego Urząd Prokuratorowski nie domagał się wyjaśnienia tego momentu bez reszty, bez cienia wątpliwości? Możliwość były, nie staliśmy wobec braku dowodów. W razie potrzeby mogliśmy wezwać tysiące świadków.

Proszę panów sędziów: Nie po to krew robotników płynęła ulicami Poznania, ażeby użyć głębi pod siew legendy, jakoby Urząd musiał się bronić przed grożącym mu podpaleniem.

Z więzienia wydostało się 257 więźniów, zrabowanych zostało 76 jednostek broni palnej, 48 granatów, 23.325 sztuk amunicji... Około południa grupy napastników, wśród których znajdowali się również uwolnieni więźniowie, w tym część posiadających broń, udały się pod gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicz-



nego". I wreszcie: "napastnicy usiłovali wtargnąć przemocą do gmachu, a gdy im się to nie udało, ponieważ zostali odparci wodą z hydrantów, rozpoczęli strzelanie do funkcjonariuszy bezpieczeństwa znajdujących się w gmachu". - Ta teza oskarżenia się rozwiązała. Tłum przed gmachem UB był bezbronny. Dlatego mówikiem o powstaniu nowej legendy: "Nas chciano spalić".

Powołując się na wyjaśnienia Bulczyńskiego: "Gdy z tłumem usiłowano pod gmach UB podtoczyć beczkę, nie można było tego zrobić, bo strzelanie było zbyt intensywne." Ale nam nie o to chodziło, to był dalszy moment, wówczas strzelania była w pełnym toku. A nam chodziło o to, kto pierwszy rozpoczął strzelanie, kto swoimi kulami powalił tramwajarke i tego chłopca. Nawet gdyby ościany gmachu UB rzucono butelki z benzyną, twierdząc stanowczo: pożarów nie gasi się kulami i nie karmi się ludzi, którzy wołają o chleb.

Tutaj była mowa o tym, czy ten chłopiec, którego kurtka leży na stole, czy to był Romek Strzałkowski? Pan prokurator Maszyński przywiązywał wagę do tej kwestii i mówił, że to nieprawda, bo Romek Strzałkowski poległ w innym miejscu. Ale dla nas nie to jest ważne. Oto jest kurtka polskiego dziecka, które zginęło od kul padających z okien Urzędu Bezpieczeństwa. Ten fakt chociażem sądowni przypomnieć.

Pan prokurator mówił o zajęciach krakowskich z 1936 roku, zapoczątkowanych przez strajk w fabryce "Semperit". Tak, były także zajęcia, ale wówczas wojewoda Switalski zapłacił za nie swoją głowę. Został on ze stanowiska wojewody wypędzony. A Poznań dotychczas na próżno czeka na głowy winowajców, odpowiedzialnych za zajęcia czerwcowe.

Omawiając wypowiedzi świadków pan prokurator powiedziało Markiewiczowej, że jej zeznania były składane przez czkowieka, który nie umie zeznawać w Sądzie. Ja nie wiem, czy Markiewiczowa umie zeznawać, czy nie umie. Człowiek, który staje w sądzie po raz pierwszy w życiu, bardzo często nie umie. Ale nie jest to ważne i nie o to chodzi. Chodzi o to, czy świadek mówi prawdę. Po Markiewiczowej zeznawał świadek Lewandowski i nie było ani jednej sprzeczności między tym, co powiedziała Markiewiczowa, a tym co powiedział był naczelnik więzienia, świadek Lewandowski. Oboje oni stwierdzali, że na teren więzienia tłum zupełnie spokojnie wszedł. Świadek Lewandowski mówił o wandalach. Ale w czym się ten wandalizm tłum przejawiał? W rozbiciu jakiejś maszyny do szycia i tego aparatu leczniczego, o którym mówił pan prokurator. Ale ani naczelnikowi więzienia, ani nikomu ze straży więziennej nie spadł włos z głowy, i to dla

oceny postawy tłumy chyba jest najważniejsze.

Rację miał przedstawiciel Prokuratury Generalnej, kiedy podkreślił i zapisał władzy na dobro, że na terenie więzienia do tłumy ostrzelano i tam nikt nie poległ. I ja dowiedziałem się, że więzienie zostało zdobyte bez wystrzału-powiedziakom sobie "brawo, to były mądre posunięcia, mądry naczelnik". Ale z najwyższą przykrością, gdy pan Lewandowski stanął tutaj w charakterze świadka i podawał swoje personalia, usłyszałem: "Były naczelnik więzienia! Martwię się więc za niego i obawiam, że ocena jego inteligencji przez "górną" wypadła inaczej niż moja.

Gdy panowie prokuratorzy mówili o tym, że wojsko do tłumy nie strzelało, przez salę przeleciał szmerek. Proszę panów pamiętać o tym, że prawie każdy człowiek obecny tutaj był świadkiem tamtych zajęć. Wojsko nie strzelało? A co powiedział świadek dr Śliwiński? Na skrzyżowaniu ulicy Jeżyckiej i Mickiewicza stał żołnierz. Robotnicy krzyczyli do żołnierzy, żeby nie strzelali do braci. Na to żołnierz wystrzelił i jeden z tych, którzy wojsko wzywali do niestrzelania, upadł na ulicę. Wówczas inny robotnik zawołał "patrz, chacie zabiliście dzieciom ojca". Padł drugi strzał i tego, który to powiedział, również zastrzelono.

Jeżeli się robi publiczną rozprawę pod hasłem niezatajenia prawdy i nieobawiania się żadnej prawdy, to dlaczego nie kształcać fakt. Mówimy o wszystkich, nawet najbardziej bolesnych, najbardziej drastycznych sprawach, które miały miejsce w czerwcu i nie bójmy się spojrzeć w oczy tej prawdziwie tragicznej i gorzkiej.

Polemizując ze mną pan przedstawiciel Prokuratury Generalnej powiedział, że żadne przepley prawne przez strajkujących nie zostały naruszone. Cieszyłbym się bardzo, gdyby ten pogląd miał się w praktyce naszego sądownictwa zakorzenić. Ale ja sam byłem obrońcą robotników warsztatów kolejowych, którzy zastrajkowali, wysłalił Warszawy delegację, a potem członkowie tej delegacji byli sądeni z art. 3 pkt. 2 małego kodeksu karnego. Witam więc oświadczenia pana przedstawiciela Prokuratury Generalnej jako zapowiedź nowej praktyki w tym względzie.

Mówił również pan prokurator, że przeciw nikt nie naruszył art. 163 k.k. Gdzie te wypadki były? Wypadki, ale to były przestępstwa.

Poza tym nikt nie naruszył z tych osób, które nie zostały pociągnięte do odpowiedzialności. Nie demolowano pomieszczeń Zanku, Domu Partii, Wojewódzkiej Komendy. Może przypomnę zeznanie Bulczyńskiego, który powiedział, jak setki ludzi demolowało biura i stołówki i to nie jest naruszenie art. 163

A gdzie są oskarżenia o to? Skorzystali ze sprawiedliwej i słusznej zasady abolicji/umorzzenia/. I my cały swój wysiłek wkładamy w to, żeby tę słuszną zasadę uzyskać i dla oskarżonych.

Proszę Wysokiego Sądu! Wszyscy jesteśmy zmęczeni, nie chcę więc przedłużać swego przemówienia. Każdy wyrok jest wyrokiem ostatnim tylko dla sędziów, którzy go wydali. Oskarżenia mają dalsze intencje, sędziowie nie mają żadnych. I dlatego przed zapadnięciem tej, dla was-panowie sędziowie-niedwołalnej decyzji, niech nastąpi godzina wielkiego duchowego skupienia. Wniknijcie w głąb swoich serc, w głąb swoich sumień. A wówczas przed waszymi, panowie sędziowie, oczami, niechaj załopocze sztandar biało-czerwony, trzymany wysoko w rękach polskiego dziecka.

Jerolim MACIEJEWSKI  
Zofia TROJANOWICZ

"Biegli z Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu stwierdzili, iż rana postrzałowa znajdowała się na powierzchni klatki piersiowej po stronie lewej... kanał postrzałowy przebiegał od dołu, przodu i strony lewej ku tyłowi i górze i stronie prawej przechodząc przez klatkę piersiową", a "strzał powodujący sranienie mógł być oddany jedynie w dyspozytorni garażowej, w której znajdował się denat w chwili sranienia". Jest rzeczą oczywistą, że skoro mordercy strzał sstał oddany od dołu ku górze, i to s poziomu znacznie niższego niż rana wlotowa, to sprawa zabójstwa nie mógł znajdować się na tym samym poziomie co sabyty, lecz musiał strzelać do ofiary z bliska, stojąc na poziomie znacznie niższym niż jego ofiara.../ Skoro ciało naszego synka ukryto na I piętrze budynku, to należał przyjąć, iż sstał on samordowany w drodze na pierwsze piętro.../ Brak usskodzenia tak rąski, jak i koszulki pozwala na wysunięcie wniosku, że przed zabójstwem sprawcy weswali dziecko do podniesienia rącek do góry.../ Fakt ten potwierdza prawdziwość informacji udzielonych mojej sone przez funkcjonariusza, Woj. Urzędu Bespieczeństwa Publicznego, iż po śmierci Romek został złożony w miesskaniu na sprężynach Łózka.

/cd. na str 8 /





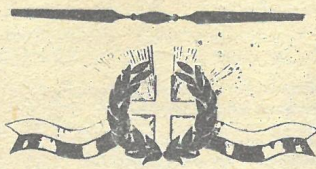


+ /dokończenie ze str. 6/

Nakryto go pościelą, a krew z ran ściekała na podłogę. Dopiero później, gdy zwłoki przestały krwawić i krew zakrzepła, ciało mojego dziecka zniesiono na parter i umieszczono w fotelu. Świadek Marian Kubicki /K77/ zeznał, że jeszcze o godz. 15<sup>00</sup> zwłok na fotelu nie widział. A więc zeznania Teresy Szmyt były nieprawdziwe i zostały złożone celowo, ażeby stworzyć fiksywowy obraz śmierci dziecka i zataić kim byli jego zabójcy".

/Jan Strzałkowski - z zażalenia do Prokuratury Generalnej w Warszawie w sprawie umorzenia śledztwa przeciwko Teresie Szmyt o występki z artykułu 110 §1 K.K./

/.../ dosłownie nie wiadomo skąd, wyskoczyło dwóch żołnierzy.



ROMAN	STRZAŁKOWSKI	LAT 13
JERZY	JANKOWIAK	LAT 15
LEON	K Ł O J	LAT 15
WIESŁAW	KUZNICKI	LAT 16
JANUSZ	SIKORA	LAT 16
ZDZISŁAW	DUTKIEWICZ	LAT 17
ANDRZEJ	HOPPE	LAT 16
BOHDAN	NOWAK	LAT 19

OKOŁO 300 MIESZKANCÓW POZNAŃA - MŁODZIEŻ I ROBOTNICZY - KTORZY ZGINELI NA ULICACH SWIEGO MIASTA W WALCE POD HASŁEM 'CHŁEBA I WOLNOŚCI' DLA NARODU

DLA UCZCZENIA ICH PAMIĘCI I DLA PRZYPOMNIENIA NAJBLIŻSZEMU POKOLENIU O OBOWIĄZKU WALKI - ZAWSZE I WTERDZIE - O POLSKIE WOLNA, CAŁA I NIEPODLEGŁA. AKT TEN SPISALI HARBURER CIACORAGNI WIELKOBRITWY SKIEI I ŻOLNIERZE BRYGADOWEGO KOLA MŁODZICH POLON



Byli w mundurach polskiego wojska. Oberwaliśmy kilka razy kolbą od karabinu lub auto-

matu, a następnie postawiono nas na narożniku przy kościele i dokładnie zrewidowano zabierając nam marynarki z dokumentami. Cały czas używano słów: "Jobju wasza mać - bandyty!.. /F.SZ./

Ł. Łukasiewicz, "Dramat nadziei. Poznański czerwiec 1956"

/.../ Wówczas czterech funkcjonariuszy złapało kolejarza przewróciło twarzą do podłogi, przygniatając go kolanami złapali za włosy i zaczęli tłuc o posadzkę. Miał całą twarz zmasakrowaną /.../

/F.SZ./

"W wyniku ofiarnej i bohaterskiej akcji żołnierzy i milicji i funkcjonariuszy bezpieczeństwa sytuacja w mieście została opanowana."

EKSPRESS Poznański 30.06.1956

## PARTIA z troską i nadzieją

Niezbyt zgrabne jest zabieranie głosu na temat Partii przez osobnika, który do niej nie należy. Z drugiej jednak strony, skoro bierze ona na siebie odpowiedzialność za losy nas wszystkich, to i my winniśmy mieć choć w części prawo do wyrażania opinii o niej!

W jednym ze swoich publicznych rozmyślań stwierdziłem, że PZPR jest ciężko chora, a w porę nie leczona, nie będzie łatwa do uzdrowienia. Stwierdzenie moje sprzed kilku tygodni nadal zachowuje swoją aktualność. Nie akceptuję tu radości z cudzej choroby. Po pierwsze sprawa ta nie jest nam taka cudza, bez względu na przynależność, a po drugie ujawnione schorzenia dotknęły każdego obywatela PRL.

Jako bezpartyjny, z całą precyzją przeanalizowałem projekt programu Partii wraz z założeniami ideologicznymi. Uważam za konieczne, by wszyscy znali i wnikali w treść każdego dokumentu związanego z losem Ojczyzny i jej obywateli. Nie będąc członkiem tej organizacji politycznej znam dobrze jej założenia programowe. Musiałem się nawet uczyć na pamięć w szkole cech partii nowego typu, tj. partii leninowskiej. Musiałem się także uczyć marksistowskiej ekonomii socjalizmu i dostrzegania różnic między wartością dodatkową a produktem dodatkowym. To wszystko musiałem i nie żałuję.

Zastanawiam się jednak, ilu aktualnie członków PZPR zna wszystko, co znać powinno, a jeśli nie, powstaje zasadnicze pytanie - skąd i po co tam trafili wszyscy ci, którzy nic o tej Partii nie wiedzą.

Poglądy moje są umiarkowane zarówno na temat dogmatu wiary /która moralnie jest niezbędna/, jak i na temat komunizmu wykorzystującego podobne zasady wartości etycznych. Różnica jest tylko taka - jedna wiara walczy o swoje ideały poprzez cierpienie, a druga poprzez walkę. Obie, w swej treści krańcowe, stanowią naszą rzeczywistość.

Powróćmy jednak do programu. Nie wiem, czym się kierowali jego twórcy stwierdzając, że członkiem PZPR może być towarzystwo wyznające wiarę idealistyczną przy jednoczesnym założeniu ideologicznych zasad materializmu dialektycznego? Jest to podstawowa sprzeczność godząca niewątpliwie w czystość ideową, sprzeczność wypaczająca charakter z zasady moralne.

Jest nie do przyjęcia ani przez Kościół ani przez Partię. Na tle tych rozważań prawd PZPR atakowana jest przez naszych sąsiadów. Sądząc z niewybrednych epitetów, trudno nazwać ich przyjaciółmi. W atak ten wplątana jest także "Solidarność", traktowana jako główny "przestępca" ostatnich miesięcy. Nie ma żadnego znacze-

nia ani dla forum katowickiego ani dla sąsiadów, że związek wraz z rolnikami skupia ponad 12 milionów Polaków, którzy dobrowolnie i bez przymusu oraz bez liczenia na kariery polityczne znaleźli się w szeregu związku.

Nie jest także ważne dla wyżej wymienionych krytyków, że tamta Partia z 1980 roku była nie tyle zakonem ideologii marksistowsko-leninowskiej, ile złodziejskim ugrupowaniem karierowiczów na najwyższym szczeblu. Taka była ta Partia i dla niektórych taka chce pozostać. Tego sąsiedzi i forum nie dostrzegają. Zamiast wstydzić się za swoich kolegów po fachu, nasi sąsiedzi, z pomocą katowickiej grupy wypadowej, opluwają cały nasz naród i depczą bez żadnych zasad kultury dobrosąsiedzkiej wszystko co polskie. Nie wiem, jak odróżnić wtrącanie się w wewnętrzne sprawy od niewtrącania, ale wiem, przynajmniej teoretycznie, że jesteśmy według Konstytucji krajem suwerennym, niepodległym i podobno samostanowiącym o sobie. Obecnie jest okazja, aby to sprawdzić. Jeśli zdaniem naszych sąsiadów stanie się inaczej niż w Konstytucji, pozostanie nam znów wiara, nadzieja i cierpienie.

Tego historia nigdy nam nie oszczędziła.

Wiesław CHOJNOWSKI

PISMO NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGIONU OLSZTYŃSKIEGO REDAGUJE KOLEGIUM w SKŁADZIE: Wiesław Chojnowski · Leszek Grucela · Marek Jarosz · Piotr Kajko · Tadeusz Kisły · Andrzej Weber · stale współpracuje Benon Gaziński · Adres Redakcji: 10 - 542 Olsztyn, ul. Dąbrowszczaków 39, pok. 4113 · Tel. 241-11 do 18 wewn. 340 · Druk M.P. · Wydaje MKZ, Olsztyn · CENA 3zł.